

„Mała Polska” – nieznaną historią polskich dzieci z Pahiatua

Wojna to nie tylko działania wojenne, rany, krew, idee, patriotyzm, cele, plany, bitwy, logistyka, wywiad, propaganda, ale przede wszystkim życie tych wszystkich, którzy przebywają z dala od huków dział i serii karabinów maszynowych, ale i tak wojna osiąga ich swoimi okrutnymi szponami.

Bardzo lubię historię i wiem o zsyłkach Polaków na Sybir, ale przyznam szczerze, że nigdy nie zastanawiałem się nad dalszymi losami Polaków wywiezionych w głąb Rosji. Kiedyś, kiedy byłem małym chłopcem, wypożyczyłem książkę w miejskiej bibliotece pt.: „Dziadek i niedźwiadek”. To ciekawa historia niedźwiedzia, który w czasie II wojny światowej służył w wojsku polskim wraz z żołnierzami Armii Andersa. I w tej książce natknąłem się pierwszy raz na informację o Hance Ordonównie - piosenkarce, tancerce, aktorce kabaretowej i filmowej. W czasie II wojny światowej znalazła się na terenach okupowanych przez ZSRR, została aresztowana i wywieziona do obozu pracy w Uzbekistanie. Po zwolnieniu z obozu podjęła się ratowania polskich dzieci, które znalazły się w ZSRR. Udało się jej z pomocą męża wywieźć kilkaset dzieci na Bliski Wschód, gdzie sierotami zaopiekowały się polskie placówki. Moja wiedza na tym się zakończyła. Dopiero przygotowania do konkursu skłoniły mnie do zagłębienia się w te dramatyczne, niezwykle i wstrząsające losy tysięcy polskich dzieci.

Nazywana „Małą Polską” Pahiatua to nowozelandzka miejscowość, w której w czasie II wojny światowej funkcjonował obóz dla polskich dzieci i ich opiekunów, przybyłych tam 31 października 1944 r. na pokładzie amerykańskiego transportowca „General Randall”. To była podróż nadziei, podróż kończąca kilkuletnie cierpienia. Jej uczestnicy w dzieciństwie przeżyli koszmar, utracili najbliższych, po okresie tułaczki trafili na drugi kraniec świata. Chociaż byli skazani przez totalitarny system na zagładę, z labiryntu historii wyszli obronną ręką.

Kiedy udało mi się zdobyć i przeczytać książkę pt. „Dwie ojczyzny. Polskie dzieci w Nowej Zelandii. Tułacze wspomnienia” pod redakcją Stanisława Manterysa, przyznam, że historia tych dzieci miała na mnie wielką siłę oddziaływania. Zostałem w nią wciągnięty bez reszty. Jako ciekawostkę dodam, że pan Stanisław Manterys jest wujkiem mojej sąsiadki. Kiedy dowiedziałem się o tym, bardzo się ucieszyłem. Moim zdaniem ta książka to niezmiernie ważna pozycja, udowadniająca, iż życie niejednokrotnie przewyższa fikcję literacką pod każdym względem.

Czytając wspomnienia, utożsamiałem się z każdą z tych niezwykłych historii. Wraz z bohaterami tęskniłem za bezpieczeństwem rodzinnego domu, przeżywałem śmierć rodziców, koszmar podróży w bydlęcych wagonach, ciężką pracę w łagrach, głód, samotność, choroby, odmrożenia, a potem polski sierociniec, do którego trafiły dzieci. Sam doświadczyłem dramatu śmierci mojego taty. Wiem więc, co to rozdzierający ból serca po stracie rodzica! Co to rozłąka, tęsknota i rozpaczliwa bezsilność wobec tego, co nas spotyka. Ale ja w tych strasznych chwilach byłem w swoim bezpiecznym domu otoczony opieką i miłością! A te dzieci nie! Śniły mi się koszmary!

Dzieci z Pahiatua nie miały normalnego dzieciństwa. Przerwał je gwałtownie 17 września 1939 r., kiedy na Kresy Wschodnie zbrojnie wkroczyła Armia Czerwona pod pozorem ochrony mniejszości ukraińskiej i białoruskiej przed agresją niemiecką. Niebawem na zajętych terenach swoje rządy rozpoczął Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych NKWD.

Małoletni mieszkańcy wschodnich województw Polski z przerażeniem obserwowali represje i gwałty dotyczące ich najbliższych.

W latach 1940-1941, w ramach czterech deportacji, w głąb Związku Sowieckiego wywieziono ponad 1,5 mln obywateli polskich. Deportacje dotknęły najpierw mężczyzn w wieku poborowym a potem osoby starsze, kobiety i dzieci. Były to dzieciaki, które należały do rodzin inteligentnych. Zdecydowaną większość deportowanych skierowano do Kazachstanu, gdzie zesłańców czekała niewolnicza praca, nędza, choroby i głód. Ci, którzy przetrwali wywózki i nie zostali zastrzeleni, ginęli z zimna, chorób, przemęczenia katorżniczą pracą. Śmierć nie omijała także dzieci.

Ich położenie zmieniło podpisanie w Londynie 30 lipca 1941 r. tzw. układu Sikorski-Majski. Dotyczył on wznowienia polsko - sowieckich stosunków dyplomatycznych, współpracy na rzecz pokonania Niemiec oraz powstania Armii Polskiej w ZSRR. Tworzenie wojska przez gen. Władysława Andersa nie przebiegało łatwo. Do wielu Sybiraków nie dotarła informacja o powstającej w ZSRR Armii Polskiej, inni nie byli w stanie do niej dotrzeć. Dla tych, którzy się w niej znaleźli, brakowało broni i żywności. Ocenia się, że blisko 70 tys. polskich żołnierzy otrzymywało tylko 40 tys. przydziałów żywnościowych. Tymi głodowymi porcjami żołnierze dzielili się jeszcze z ludnością cywilną. W tej sytuacji najważniejszym zadaniem dla gen. Andersa stało się ocalenie polskiej armii i ludności cywilnej. 18 marca 1942 r. na spotkaniu ze Stalinem poruszył kwestię ewakuacji części wojska polskiego do Iranu. Stalin zgodził się bez wahania na wyjazd wszystkich tych żołnierzy polskich, dla których nie wystarczało żywności.

24 marca 1942 r. rozpoczął się pierwszy etap ewakuacji Armii Polskiej ze Związku Sowieckiego. W obozach na terenie Persji (Iran) znalazło się 120 tys. Polaków, w tym ok. 18 tys. dzieci. Główny obóz znajdował się w Isfahanie. Tam powstał ośrodek dla ok. 2,6 tys. dzieci, głównie sierot i półsierot. Zorganizowano im naukę od przedszkola do gimnazjum, a później nawet otwarto liceum; utworzono też gimnazjum krawieckie i szkołę wyrobu perskich dywanów. Dzieci po tych wszystkich przejściach zaczynały powracać do zdrowia i sił. Było spokojnie, czysto i syto. Część z nich jednak zmarła na skutek chorób i ciężkich warunków bytowych w ZSRR. Polski rząd w Londynie zaapelował o pomoc do Ligi Narodów. Na apel odpowiedziały Indie, Liban, Meksyk, Unia Południowej Afryki (obecnie RPA) i Nowa Zelandia.

Zastanawiałem się, dlaczego USA odmówiły przyjęcia Polaków? Na nasz apel skierowany do Stanów Zjednoczonych, politycy stwierdzili, że Ameryka jest krajem, który nie przyjmuje uchodźców w czasie II wojny światowej!?

Dzięki zabiegom dyplomatycznym konsula generalnego RP w Wellington, Kazimierza Wodzickiego i jego małżonki Marii a także wielkiej przychylności ówczesnego premiera Nowej Zelandii Petera Frasera oraz jego żony Janet Frazer, władze tego kraju podjęły decyzję o przyjęciu i zaopiekowaniu się 733 dziećmi z Isfahanu (i ponad 100 osobami personelu pomocniczego - m.in. nauczycielami, lekarzami). Przeżyły one wysiedlenia, łagry, mróz syberyjskiej tajgi lub upały Kazachstanu. W ZSRR wiele z nich straciło rodziców.

W grudniu 1943 w Londynie premier Nowej Zelandii, Peter Fraser, podpisał umowę z rządem RP. Dzieci oraz opiekunowie otrzymali zgodę na pobyt w Nowej Zelandii do zakończenia wojny. Władze Nowej Zelandii zorganizowały na swój koszt wielką akcję. 29 września 1944 r. dzieci wraz z opiekunami wyruszyli z Isfahanu do Basry. Stamtąd mały motorowy statek zawiózł ich do Bombaju. Przesiedli się na amerykański transportowiec

wojenny General Randall, który wiozł rannych żołnierzy z frontu do Nowej Zelandii. Dryfowali długo, gdyż Japończycy nie ustawiali w bombardowaniach okolic Indonezji. Pasażerowie przeżyli wiele próbnych i prawdziwych alarmów.

1 listopada 1944 roku mali Polacy przyłynęli do portu w Wellington. Trafili do dalekiego, nieznanego kraju, ale doświadczyli niezwyklej serdeczności. Dla wielu z nich był to początek nowego życia z dala od ojczyzny rządzonej przez komunistów.

Od nazwy miasteczka, w którym utworzono specjalny obóz nazwano je „dziećmi z Pahiatua”. Znalazły opiekę i ocalenie na drugim końcu świata, nowy dom oddalony 20 tys. kilometrów od Polski. Był to dla nich czas leczenia wojennych ran.

Rząd Petera Frasera otoczył dzieci wszechstronną opieką, zapewnił im możliwość kształcenia się, również w języku ojczystym. Powstały szkoły dla polskich dzieci - uchodźców. W Wellington - Lyall Bay utworzono Bursę Polskich Dziewcząt. Władze Nowej Zelandii zapewniły dzieciom opiekę medyczną m.in. w szpitalu w Otaki. Z obozu w Pahiatua starsza młodzież trafiła do internatów w Dunedin, Christchurch, Hawera i Silverstream. W Greymouth na Wyspie Południowej oraz w PalmerstonNorth powstały polskie klasy w gimnazjum Braci Marystów. W obozie Pahiatua zorganizowano basen oraz plac gier i zabaw dla młodszych dzieci. Polscy opiekunowie zorganizowali drużyny harcerskie dla dziewcząt i chłopców. Opiekę duszpasterską nad obozem Pahiatua sprawował ks. Michał Wilniewicz. Pomoc przy rozbudowie obozu oraz transport zapewniali żołnierze nowozelandzkiej armii.

W lutym 1945 roku konferencja przywódców USA i Wielkiej Brytanii oraz ZSRR przypieczętowała decyzję o przyznaniu polskich ziem zajętych przez Sowieców po 17 września 1939 roku Związкови Radzieckiemu.

Wobec nowej sytuacji rząd nowozelandzki zapewnił uchodźcom możliwość pozostania w Nowej Zelandii lub powrotu do kraju.

Po wojnie większość z 733 dzieci pozostała w Nowej Zelandii, część z nich trafiła do Australii, Wielkiej Brytanii oraz innych krajów. 17 kwietnia 1948 kilku wychowanków obozu Pahiatua na pokładzie statku „Rangitata” powróciło do Polski. Obóz zlikwidowano 15 kwietnia 1949 roku.

Nowa Zelandia była jedynym krajem wojennego świata, który przyjął małych uchodźców bezwarunkowo, zapewniając im nie tylko bieżącą opiekę na czas działania obozu, ale również umożliwiając zdobycie wykształcenia i pełną asymilację w nowej ojczyźnie. Największe zasługi, prócz premiera Frasera i konsula Wodzickiego, mają nowozelandzkie rodziny, dzięki którym, na każde kolejne święta – przez cały okres działania obozu – dzieci znajdowały rodziny zastępcze, a po zakończeniu działalności obozu odnalazły – również dzięki ich staraniom – swoje miejsce w życiu.

We wspomnieniach polskich dzieci z Nowej Zelandii zatytułowanych „Dwie ojczyzny” znalazłem wypowiedź pana Antoniego Rybińskiego, które niezwykle mnie poruszyła: „Moi dziadkowie pochowani są w Polsce, ojciec w Katyniu, matka leży w Iranie, siostra w Stanach Zjednoczonych, a mnie pochowają w Nowej Zelandii...”. Ot, polskie losy.

Myślę, że dla wielu młodych ta nieco zapomniana polska historia jest trochę jak opowieść science fiction! Niestety, należymy do „pokolenia kciuka”! Technologie XXI-wieku zabijają w nas wszelkie wartości i nie pozwalają budować relacji interpersonalnych. Nasze kciuki i umysły zostały zniewolone przez to, co dalekie od człowieczeństwa. Przez to odnoszę

wrażenie, że moim rówieśnikom trudno jest zrozumieć tę historię! Może dzieje się tak dlatego, że pokoleniu, które nie doświadczyło mrozu, głodu, pracy ponad siły, cierpienia, a które uważa, że wszystko mu się należy, ciężko jest sobie wyobrazić i uzmysłwić, że to, co ich otacza, to nie jest gra komputerowa, ale rzeczywistość!

Uważam, że nie ma drugiego tak umęczonego narodu w Europie jak nasz! Dlatego w hołdzie dla tych ludzi co odeszli i tych co przetrwali, aby nigdy nie dopuścić do takich zbrodni, koniecznie trzeba głośno mówić o historii dzieci z Pahiatua! Nie tylko w kraju, ale i na świecie! Naszym obowiązkiem jest pamiętać o tragicznym losie polskich dzieci, sierot, niejednokrotnie kilkuletnich maleństw skazanych na tułaczkę za sprawą sowieckiej działalności na terenach Polski - naszej Ojczyzny.

Paweł Włodarczyk

Kl. VII b

Szkoła Podstawowa nr 2 w Miechowie